

# DLA MŁODSZYCH.

Dodatek do Miesięcznika galic. Tow. ochr. zwierząt Nr. 4 z r. 1908.

---

Roman Ciszewski.

## Światli mężowie o ochronie zwierząt

Św. Franciszek z Assyżu. Bóg życzy sobie, abyśmy zwierzętom pomagali, gdy pomocy potrzebują. Każda istota niedoli ma równe prawo do opieki.

Biskup William X. Rinde. Litościwe obchodzenie się ze zwierzętami powinno być nauką z ambon powszechnie ogłoszoną i w naszych szkołach niedzielnych młodzieży wpojona, jako najważniejsze powinności chrześcijańskie.

Dr. prof. Janota. Obchodzenie się ze zwierzętami jest niezawodną miarą stopnia cywilizacyi tak całych ludów, jak pojedynczych ludzi.

Zachowanie się względem zwierząt jest miarą szlachetnego usposobienia człowieka.

(W sprawie chwytania i dręczenia drobnych zwierząt i owadów przez młodzież szkolną,) nielitościwe, a nawet okrutne postępowanie ze zwierzętami z jakichkolwiekby pochodziło pobudek nader szkodliwie wpływa na wychowanie młodzieży, gdyż podkopuje najdzielniejszą jej stronę, to jest rozwój i uszlachetnienie uczucia, a nawet działa wprost w przeciwnym kierunku. Zgodzi się niezawodnie każdy nieuprzedzony i doświadczony pedagog i podzieli to przekonanie, iż korzyści z powodu nabytej tym sposobem wiedzy w zakresie nauk przyrodniczych nie dorówna szkodom, jakie z tego powodu ponosi rzetelne wychowanie.

Fryderyk Froebel. Na zwierzęciu ćwiczy się przede wszystkim dziecię w litości, albo w okrucieństwie, a gdy dorośnie okaże się uczynnym albo nielitościwym także wobec swoich współtowarzyszów.

Schopenhauer: Współczucie dla zwierząt zawisło przeważnie od dobrego charakteru, też istotnie stwierdzić można, że: „kto dla zwierząt srogim jest; nie może być dobrym człowiekiem“.



Aleksander Humboldt: Okrucieństwo wobec zwierząt jest najoczywistszą rozpustą spodłonego i nieszlachetnego narodu. Gdy się ono toleruje, wówczas j. t. pewnem znamieniem ciemnoty i barbarzyństwa, które — niestety — obok wszelkich cech bogactwa, przepychu i sławy nie da się zatrzeć.

Prawdziwe wychowanie i prawdziwa uczoność nie ścierpią okrucieństwa wobec zwierząt.

### Feliks Pławicki.

## Guwerner Francus a niedźwiedź w Przecławiu.

Dawniejsze generacye więcej niżli obecna powodowały się pieczołowitością i ludzkością wobec pożytecznych zwierząt a nawet często zadawały sobie pracę z oswajaniem dzikich zwierząt. Nie ma w tem nic dziwnego, wszak czasy się zupełnie zmieniły; patryarchalnego pożycia już prawie nigdzie niema pomiędzy ludźmi, a zapanował egoizm, rzecz więc naturalna, że wygasło także po największej części ludzkie traktowanie nawet tych zwierząt domowych, za pomocą których, zarabiamy na chleb codzienny. Niepowrotnie minęły już czasy, w których Polska tak troskliwie chowała sławną z wytrwałości rasę koni a co z tem szło także w parze, dzielnych jeźdźców o żelaznych, muszkułach, od lat pacholących wygimnastykowanych konną jazdą a nie lawen-tenisem lub arcyśmiesznym wymysłem chorośliwego systemu angielskiego, tak zwanym fottbalem.

Jeszcze w pierwszej połowie przeszłego wieku nie tylko na wsi, po dworach ale i po miastach często zdarzało się widzieć u zamożnych obywateli zamiłowanie do chowu dzikich zwierząt w ogrodach swych, specyalnie na to przeznaczonych budynkach tak np. we Lwowie na Piekarskiem, chował hr. Kajetan Lewicki w podwórzu dwa młode niedźwiedzie. Najdalej doprowadził w tym sporcie hr. Mikołaj Rej właściciel zamku w Przecławiu tamże stale zamieszkały, który dostawszy kilkutygodniowego niedźwiadka z Tatr, zaopiekował się nim tak dalece, że już po kilku miesiącach chodził niedźwiadek swobodnie i bez podejrzeń o ucieczkę lub atakowanie ludzi, po całym zamku, żyjąc



w miłej zgodzie z wszystkimi dworskimi psami. Najpocięszniejszym było to, że służba kuchenna wyuczyła tego niedźwiedzia po roku pobytu jego w Przecławiu obracać z największą dokładnością rożen nad ogniem z pieczystem, bez wyrządzania szkody. Schlebiała też niedźwiedziowi służba dworska dając mu często łakocie i wabiąc go pieścizotliwie Misiem. Lecz Misio miał jednak niemałą wadę; lubiał zakradać się w nocy przez werandę do jadalnego pokoju i tam najwygodniej kłaść się na sofie do snu, wcześniej zrana zaś wnosił się cichaczem do ogrodu, aby niebyć na uczynku wyłapanym. Jakkolwiek było mu to surowo zabronionem popadał w nieposłuszeństwo, ilekroć razy lokaj, zapomniawszy na klucz zamknąć drzwi do sali jadalnej, przymknięte bowiem drzwi otwierał sobie z największą łatwością sam Misio.

W tym czasie sprowadził był hr. Mikołaj Rej dla swoich synów gubernera — francuza z Paryża, który przyjechał pewnego wieczora w sierpniu deliżansem do Dębicy a ztamtąd dworskim powozem do Przecławia. Znużony długą podróżą prosił francuz po wieczerzy aby mu pozwolono udać się na spoczynek. Gdy pokój dla gubernera nie był jeszcze urządzonym użyto prowizorycznie sofy w pokoju jadalnym na nocleg dla przybysza. Tam też położył się i wnet zasnął błogo francuz, gdy wtem około północy został nagle przebudzony skrzypnięciem drzwi od ogrodu i usłyszał ciche kroki, tudzież mocne sapanie zbliżającej się wprost do łóża jego istoty. Był to pocięwy Misio, który bez żenady legł swoim zwyczajem na ulubionej sofie, odsunął grubem, tłustem cielskiem gubernera na bok i rozpoczął drzemkę. Śmiertelny pot wystąpił na czoło francuza, a febra trzęsła całym organizmem, zesnurowawszy mu gardło tak, że żadną miarą nie był w stanie wołać o pomoc. W dodatku wśród ciemnej nocy nie miał wyobrażenia, co właściwie za dziki zwierz przytłoczył go swem cielskiem. Tak w cierpieniach strasznych przepędził biedaczysko bez ruchu resztę nocy i dopiero gdy brzask poranku zaświecił w pokoju, a Misio uznał za stosowne dać drapaką do ogrodu, wyskoczył francuz z sofy i zbudziwszy swym krzykiem służbę, błagał o danie mu koni do odjazdu, pod żadnym bowiem warunkiem niechciał pozostać w kraju, gdzie drapieżne zwierzęta swobodnie wlażą do mieszkań. Nic niepomogły perswazyje hr. Reja i pokazanie gubernierowi ugłaskanego Misia, delikatnie



cukier z rąk przyjmującego i za ten przysmak dziękującego przez oblizanie dobroczynnej ręki. Francuz nie dał się przekonać, że tu nie ma najmniejszego niebezpieczeństwa i odjechał bezzwłocznie, niezawodnie aby po powrocie do ojczyzny opisywać nasz kraj w najgorszem świetle i popierać to faktyczną przygodą w Przecławiu. Co się dalej stało z Misiem niemożę dokładnie podać, lecz skoro w r. 1846 bandy chłopskie osławionego Szeli zamordowały we dworze Przecławiu hr. Reja, jednego z najszlachetniejszych obywateli, niezawodnie niedarowały życia i biednemu Misiowi.

---

### Zygmunta Przestrzelska

## Kolonia strusi w Nizzy.

Na widok bujnych piór strusich, zdobiących kapelusze elegantek, zwraca się mimowoli myśl nasza ku egzotycznym krajom, ku obszarom Przylądka D. N., gdzie tysiącami padają cenne ptaki od broni myśliwych, ku nagim równinom Teksas, ku dalekiemu terytorium południowej Ameryki, słynnym centrum hodowli strusiów. Niepotrzebujemy atoli jechać tak daleko a nawet nie potrzebujemy opuszczać granic naszego kontynentu, aby oglądać strusi folwark, założony przed kilku laty w Nizzy, głównem mieście francuskiej Rivieri, znanem na całym świecie miejscu klimatycznym. W pobliżu miasta, wśród gajów palm, cytryn i pomarańcz widnieją czerwone dachy pawilonów, gdzie za kratami i siatkami pędzi około 150 strusi swoje jestestwo.

Jak twierdzi czasopismo „*Lectures pour Tous*“, z którego czerpiemy powyższe daty sprowadzono przed pięciu laty do tej kolonii strusiej 25 okazów z Kalifornii, samców z pysznemi czarnemi piórami, samice z szarem zabarwieniem. Później zamieniło siedm znakomitych abisyńskich okazów gorące pustynie swej ojczyzny na szczupłą fermę Nizzy. Cudowne kolory cechują te stworzenia; kadłub ich lśni w kruczej czerni, podczas gdy skrzydła i ogon w czerwonej jak krew, jaśnieją barwie. Koloniści ci wydali 118 potomków, tak iż teraz półtora etki tych ptaków żyje zgodnie na ziemi Rivieri. Pomiędzy poszczególnemi rodzinami panuje wprawdzie tradycyjna niena-



wisć, lecz przez odpowiednie odgrodzenia powstrzymuje się wojowniczych samców od krawych starć, kończących się zwykle śmiercią jednego z partnerów. W czasie walki uderzają rozbastwione stworzenia potężnymi swemi pazurami w przeciwników, godzą prosto w piersi, a niebawem poczyną płynąć krew strumieniami. Po za walką zazdrośnych samców, nie jest zresztą odwaga przymiotem strusi; przeciwnie głupie i trwożliwe to stworzenia. Szczekający pies, spadająca gałąź, lub inny niezwykle szelest wystarczają, by nabawić je panicznego strachu. Z najeżonem pierzem, z wszelkimi odznakami przerażenia biegają przestraszone zwierzęta po parku, obudzają bojaźń w towarzyszach, a w kilka sekund jest cała rodzina w najwyższym rozdrażnieniu. Jakiż to kontrast do trwożliwości strusi, stanowi szereg nazw bohaterów lub znakomitych osobistości, które nadano poszczególnym samcom. Jeden zwie się „Napoleon“, drugi „prezydent Roosevelt“, dalej idą „prezydent Laubet“, „Edward VII.“, itp. Najstarszy samiec, matador wśród kolonii, pyszny egzemplarz, liczący lat 60 wieku (strusie osiągną przeciętnie 80 lat) nosi z godnością miano „prezydent Krüger“.

Ci upierzeni dygnitarze zdradzają zadziwiającą żarłoczność, wszystko co wpadnie w objęcia ich dzioba, ginie pod wpływem apetytu, a więc klucze, zegarki, portmonetki i inne tego rodzaju łakocie. Robotnik, który pewnego razu przedsiębrał naprawę ogrodzenia, postawił na ziemi pudło z gwoździami i klamrami. Po dwóch minutach znikły wszystkie gwoździe. „Prezydent Krüger“ i tegoż małżonka nie mogli powstrzymać się od polknięcia takich delikatesów. Wogóle zażywają pstre i błyszczące przedmioty szczególnej protekcyi u tych zwierząt. Nieraz daje się słyszeć żałośny głos dam, zwiedzających zakład, którym barwny ptak eleganckim ruchem szyji zdarł z kapelusza najpiękniejsze sprzączki, klamry, pióra i inne ozdoby. Niedawno temu odwiedził pewien uczony badacz przyrody kolonię strusi i zagłębił się z wielkiem zajęciem w obserwowanie zwierząt. Takim samem zajęciem odwzajemnił się badawczemu wyrokowi uczonego struś „Napoleon“; a badacz i ptak patrzyli przez chwilę śmiało wzajem w oczy. Nagle otworzył „Napoleon“ swój dzióbek i w jednej sekundzie znikły w jego otchłani złote okulary uczonego.



Małżonki strusi urządzają sobie życie o ile możności wygodnie; emancypując się od obowiązków macierzyńskich i pozostawiając losowi zniesione przez nie jaja. Rozsądniejsza połowa rodu, a mająca wyższe poczucie, obowiązkowi, pan małżonek, spełnia przez pewien czas urząd „wylęgacza“, lecz i jego cierpliwość ma swoje granice, toż po kilku dniach, gdy niema skutku jego starań, zaprzestaje swego niewdzięcznego rzemiosła. W tropicznych ojczyznach strusi zastępuje przyroda nie-dbałych rodziców, a palące promienie słońca sprowadzają po 42 dniach młode pisklęta na świat boży. W Nizy musi wdać się w tę sprawę człowiek, przy pomocy wylęgarni.

W ostatnich czasach podróżowały niezmiernie pióra strusie, tak, iż ceny ich podniosły się z kilkudziesięciu halerzy na kilka koron. a amazonka w cenie 50 koron nie zalicza się wcale do drogich.

### Aleksandra Pichowiczówna.

## Szpital dla ptaków.

Nieprześcignieni w swych humanitarnych uczuciach, a zasobni Anglicy, wpadają co chwila na nowe pomysły i nowe tworzą instytucye. Niedawno temu powstał w Londynie niebывały, przepysznie urządzone szpital, dzięki ofiarności jednego z znanych uczonych Wielkiej Bretanii. Szpital ten urządzone podług najściślejszych zasad higieny, a pacjentów pielęgnuje się tam z najwykwintniejszą troskliwością. Całe założenie instytutu obmyślane nader szczęśliwie. Przez mównicę wchodzi się do apteki, a stamtąd do pracowni, stojącej pod kierownictwem najwybitniejszych specjalistów Anglii i Irlandyi. Sala operacyjna wprowadza widza w prawdziwe zdumienie. Stoły operacyjne, aparata, przeznaczone do trzymania pacjentów w czasie operacji i wszelkie inne przyrządy skonstruowane i wykonane podług wymogów najunowszej sztuki lekarskiej. Z sali operacyjnej wiodą drzwi do sypialń, a z stamtąd do odrębnego pawilonu, przeznaczonego dla słabych, nawiedzonych zakaźnymi chorobami. Wszędzie widnieje wzorowa czystość, wszędzie lśniąca białość, zda się chwytać za serce biednych, pacjentów, którzy czują się już w połowie zdrowymi, skoro



tylko wejść w mury tego przybytku. Myliłby się czytelnik, gdyby mniemał, że to szpital dla ludzi — nie, to szpital dla ptaków. W sali operacyjnej pracują najzdolniejsi chirurdzy, by wydarte skrzydełka lub złamane nóżki przywieść znowu do porządku. Sypialniami są wielkie przestronne klatki, a łóżeczkami delikatne szczebelki. W poszczególnych oddziałach mnóstwo znajduje się chorych, a codziennie wysyłają panowie lekarze relacje do właścicieli ptaków, w zamian naturalnie za wysoką opłatą, jaką pobiera się w tym szpitalu za kurację małych pacjentów.

Niemcy nie mają wprawdzie opisanego rodzaju urządzeń, lecz ich zamiłowanie do zwierząt powoduje, iż w poszczególnych wypadkach zasięgają opinii fachowych czasopism. W dwutygodniku „Die Tierwelt“, z którego czerpiemy powyższe daty, widnieją np. następujące odpowiedzi redakcyi:

*Panu K. B. Wiedeń.* Przystłana ryba zginęła na chorobę łuski. Choroba jest nieuleczalną, a zaraźliwą, to też należy oczyścić i zdesinfekeyonować akwarium i rośliny, z którymi była ryba w styczności, aby zapobiedz zarażeniu innych ryb.

*Pani M. S. Arad.* Pani kanarek zachrypl wskutek zaziębnienia. Karm go pani siemieniem, a jako napój dawaj mu surowe jaja, zamięszane w letniej wodzie, nasyconej kandyzowanym cukrem.

*Pani F. St. Wayram.* Pani wiewiórka cierpi na porażenie stosu pacierzowego jako skutek braku ruchu i niemożliwość zimowego snu w ciepłym pokoju. Choroba jest nieuleczalną; dla ulgi próbuj pani nacierać jej krzyże rozcieńczonym płynem Kwizdy.

*Pani L. K. Strassburg.* Pański ptak gorączkuje. Trzymaj go pan w chłodzie, wstrzymaj się na razie od karmienia go mącznemi robakami i kąp codziennie jego nogi w letnim rozczynnie ałunu. Gdy nogi obeschną smaruj je waseliną.

O ile powyżej doradzane środki skutecznie mogą działać nie naszą oceniam rzecz. My konstatujemy tylko fakta owej subtelnej troskliwości o zwierzęta, która oby jak najrychlejš i w nasze wnikięło społeczeństwo.

---



## Kot za 25.000 koron.

W Londynie odbyła się doroczna wystawa kotów, urządzona przez klub miłośników tych... fałszywych pazurkiewiczów. Na wystawę nadesłano ogółem około 500 wspianiałych egzemplarzy ze wszystkich części i zakątków kuli ziemskiej. Przeciętną wartość takiego eksponowanego miaukacza, szacowali jurorowie na 500 do 1000 koron. Najwyższą cenę osiągnął jednak arcyoryginalny okaz, pochodzenia perskiego, odznaczający się przedziwnie symetrycznym rysunkiem i wspianiałem ubarwieniem włosa w tygrysowane wstęgi. Cena ta, a właściwie pierwsza nagroda, wynosiła 1000 funtów szterlingów, czyli 25.000 koron. Majątek. Koty na wystawie wiodły prawdziwie sybarycki tryb życia, cały dzień, o ile nie jadły, to spały na wygodnych podściółkach za aksamitnymi kotarami w swoich klatkowych buduarach, a zbudzone, z dumą potrzasały uwieszonymi im na szyi obrączkami ze swem nazwiskiem i pochodzeniem, ku podziwowi zebranego tłumu.

